

Farma

Pamiętam dzień ataku. Nie jakby to było wczoraj, bo od tego czasu minęło ponad dwadzieścia lat, a wspomnienia z każdym rokiem bledną, ale pamiętam. Wryło się to w moją pamięć i pozostawiło głęboką rysę, której nic nie jest w stanie zasklepić. Tego dnia dowiedziałem się w pracy, że jestem kandydatem do redukcji. Nie oznaczało to wprawdzie zwolnienia, ale moje myśli krążyły wokół tego faktu i nie zwracałem na nic uwagi. Byłem jak zombi. Szedłem, a właściwie spacerowałem 3-go Maja od dworca Głównego w kierunku Rynku, nie oglądając się na to, co się wokół mnie dzieje. Byłem tak zatopiony w swoim świecie, że nie widziałem, jak ludzie wokół mnie zaczynają biec. Dopiero gdy byłem w połowie drogi między dworcem a Rynkiem, obok mnie przebiegł człowiek i upadł jak ścięty bez żadnego ostrzeżenia i kilku bezradnych kroków przed upadkiem. Runął i leżał. To mnie wyrwało ze stanu, w którym byłem. Chciałem mu pomóc i wtedy zauważyłem, że jego biała koszula, robi się błyskawicznie czerwona od krwi. Odwróciłem głowę, aby wezwać pomoc i dopiero wtedy zobaczyłem tłum biegnący w moim kierunku, za którymi poruszały się wielkie niezdarne, błyszczące w słońcu czołgi, które teraz nazywamy mechami. Ich karabiny precyzyjnie raz za razem strzelały w tłum, a każdy strzał kończył się śmiercią jakiegoś biedaka. Ludzie biegli, krzycząc od Placu Wolności, mechy do nich strzelały, a ja stałem jak słup soli. I może bym został kolejną bezimienną ofiarą mecha, gdyby nie kobieta. Z tego, co pamiętam, miała około czterdziestki, blondynka o przerażonych szarych oczach. Twarzy jej, chyba już wtedy nie zapamiętałem i nie pamiętam teraz. Biegnąc na oślep, wpadła na mnie i o mało mnie nie przewróciła. Przekazała mi swoją panikę i odwróciła mnie. Zamiast więc biec jak wszyscy w kierunku Rynku, ruszyłem w kierunku, który nadała mi kobieta i wbiegłem do bramy, gdzie było kino Światowid. Znalazłem się na dość małym podwórku przy wejściu do kina. Kiloro ludzi usiłowało się dostać do środka kina, lecz wejście było zamknięte. Szarpali się więc drzwiami i nagle mech wpuścił w korytarz prowadzący do kina swoją śmiercionośną wiązkę. Na podwórku zaczęły latać kawałki szkła zmieszane z częściami ludzkiego ciała. Ocaleliśmy tylko dwoje. Ja i młoda może osiemnastoletnia dziewczyna. Widząc, co się dzieje, zaczęła krzyczeć, trzymając ręce na głowie. Jej krzyk ściągnął kolejną maszynę, tym razem było to kula krocząca na czterech nogach. Nie wiem jakim cudem usłyszałem ten metaliczny dźwięk poruszającej się brzytwy, bo wydawało mi się, że krzyk dziewczyny rozrywa mi bębni w uszach, lecz gdy tylko go usłyszałem, bardziej kierowany impulsem niż jakąś myślą, wskoczyłem do kontenera na śmieci. Czarny kontener wypełniony był odpadkami do połowy, a jego kłapa nie domykała się, dlatego widziałem, choć tego nie chciałem, jak brzytwa wypuściła swoje zabójcze ostrze. Ostrze zatoczyło pełne koło wokół dziewczyny i na co ona nie zwracała chyba żadnej uwagi i uderzyło od przodu, ucinając jej głowę. Jesteś i cię nie ma. Na szczęście dla mnie maszyny tego dnia nie miały włączonych skanerów i polowały tylko na tych, co się znajdują na zewnątrz. W kontenerze byłem więc bezpieczny, choć o tym nie wiedziałem. Krzyki słyszałem jeszcze przez dłuższy czas, lecz były one coraz cichsze, aż do momentu, gdy nastąpiła kompletna cisza. Cisza była tak wielka, że mój oddech wydawał się jak krzyk. Miałem mokro w spodniach, lecz nawet nie czułem zażenowania z tego powodu. Dopiero gdy nastał wieczór, postanowiłem wyjść z kontenera. Światło nie działało, dlatego czułem, a nie widziałem, że stąkam po kawałkach ciała. Dotarłem do wejścia na ulicę i wtedy uderzył mnie prosto w oczy snop ostrego światła.

- Hasło. - usłyszałem gruby głos właściciela latarki.

- Przecież to cywil. - drugi głos był cichszy i spokojniejszy.

Gruby głos opuścił latarkę i zobaczyłem czterech żołnierzy w hełmach, kamizelkach i z bronią.

- Umiesz strzelać? - spytał trzeci z nich.

- Parę razy byłem na strzelnicy.

Podali mi broń, którą szybko złapałem i nagle poczułem się bezpieczny.

- AK 47, kaliber siedem sześćdziesiąt dwa. Może i stary, ale przebija pancerz tej cholernej kulki,

lecz czołgu nie ruszy, więc nie marnuj na niego amunicji.

- Ale ja... - jęknąłem.

- Od teraz jesteś w szeregach armii i masz wykonywać moje rozkazy, bo jestem twoim dowódcą. - głos należał do drugiego żołnierza, którego usłyszałem, tym razem jednak był bardziej stanowczy. - Zrozumieliście szeregowy?

- Tak jest. - wydukałem.

- Słabo was słyszę.

- Tak jest. - poprawiłem zwykłym głosem.

Właściciel grubego głosu podszedł do mnie bliżej. W słabym świetle latarki mogłem zobaczyć, jaki jest potężny, jednak nie widziałem jego twarzy, skrytej w czarnej plamie kamuflażu. Pociągnął mocno i głośno nosem.

- Co tu tak śmierdzi?

- Przyjeliśmy śmierdziela do oddziału. - powiedział ostatni z głosów, którego nie słyszałem wcześniej, należący do kobiety, która zakończyła zdanie lekkim chichotem.

Ruszyliśmy w noc w kierunku Warszawskiej. 3-go Maja była ciemna. Nie świeciły się nie tylko latarnie, ale w żadnym oknie nie paliło się światło. W słabym świetle latarki wdziałem leżące wszędzie trupy. Obraz był tak nierealny, że bardziej czułem się, jakbym grał w jakąś grę komputerową, niż poruszał się między tymi, którzy jeszcze rano byli żywi.

Szedłem na końcu oddziału, nie tylko ze względu na brak doświadczenia, ale chyba też i na mój zapach. Wyszliśmy z 3-go Maja i skuleni przebiegliśmy przez Rynek do rogu Teatru Śląskiego. Cały oddział minął już róg budynku i gdy ja miałem go minąć, usłyszałem ten metaliczny dźwięk poruszającej się kulki lub jak teraz mówimy brzytwy. Musiała być ustawiona w trybie czuwania. Wszyscy, którzy byli przede mną, szli nisko. Ja tej sztuki nie opanowałem i brzytwa przyczajona po drugiej stronie schodów prowadzących do teatru zobaczyła mnie. Wystrzeliła do góry z charakterystycznym łoskotem, lecąc w moim kierunku. Cały oddział był już za rogiem, więc nawet gdyby chcieli, nie mogliby mi pomóc. Odwróciłem się w jej kierunku i nie celując, nacisnąłem spust kałasznikowa. Kałasznikow zwłaszcza model 47 bez osłabiacza podrzutu ma taką przypadłość, że jak się zaczyna strzelać ogniem ciągłym, to podnosi lufę mocno do góry i szybko opróżnia cały magazynek. Trwa to parę sekund, lecz dla mnie były to chyba minuty, podczas których jak w zwolnionym tempie widziałem lecącą w moim kierunku brzytwę, ogień z lufy i pociski przebijające jej pancerz. Po pierwszym trafieniu brzytwa stała się lekko fioletowa, po drugim mocno fioletowa, po trzecim czerwona, a czwarte spowodowało, że runęła na ziemię. Huk wystrzałów przeniosło echo po ulicach Katowic, lecz cichego upadku brzytwy już nie. Reszta oddziału podbiegła do mnie z bronią gotową do strzału, ale strzelać już nie było do czego. Potężny uderzył mnie mocno po przyjacielsku w plecy.

- No Śmierdziel szacun. Zabiłeś kulkę pięć minut po wstąpieniu do armii.

Teraz już wiem, że to wojenne szczęście. Gdyby brzytwa miała ostrze lub ja inną broń, to bym nie żył. Cała czwórka już nie żyje. Zostało mi po nich wspomnienie mojego chrztu bojowego i ksywka, do której z czasem przywykłem.

Sosnowiec 16 lipca 26 (dwudziestego szóstego roku po dniu zero, od którego zaczęto liczyć nowy kalendarz, przyjmując rok inwazji za rok zerowy).

- Nie uspokoił mnie pan generale w żaden sposób. - odezwał się dwumetrowy Kula o wielkich ramionach, czarnej brodzie i krótko ostrzyżonych włosach tego samego koloru.

- Nie miałem cię uspokoić, tylko zabić twój czas, abyś przestał myśleć, o tym, co nastanie.

- Cały czas o tym myślę.

Śmierdziel zdusił papierosa w popielniczce. Choć wszyscy mówili do niego generale, wcale na niego nie wyglądał. Średniego wzrostu, chudy jak większość bezstrefowców, o krótkich siwych włosach i kilkudniowym zarostie uchodził mógł raczej za menela, czego obraz dopełniały jego

niebieskie mocno poplamione spodnie i panterka zacerowana w kilku miejscach. Niebieskie oczy Śmierdziela nigdy nie stały w miejscu. Nawet rozmawiając z kimś, zawsze obserwował otoczenie, jakby ciągle wyszukiwał zagrożeń. Na szyi miał szeroką bliznę, pamiątkę po spotkaniu z ostrzem brzytwy i jak to sam określił kolejnym wojennym szczęściu.

- Jechać. - odezwał się Hernandez z końca pokoju.

- Jadać. - poprawił go generał. - Nauczysz się kiedyś polskiego?

- Polska język, trudna język.

Hernandez był trzydziestodwuletnim Wenezuelczykiem, niskim i pulchnym. Można było z nim rozmawiać o wszystkim, z wyjątkiem tego, jak znalazł się w Polsce. Ten temat omijał lub zbywał półsłówkami. Jak każdy Latynos lubił tańczyć i zabawiać kobiety. Ludzie z oddziału żartowali z jego tuszy i kaleczenia języka polskiego, lecz mieli za najwyższej klasy specjalistę. Śmierdziel podszedł do ekranu komputera, który dawał w pokoju bardzo delikatną zieloną poświatę i spojrzął na monitor. Ulicą Piłsudskiego do wiaduktu kolejowego w Sosnowcu zbliżała się kolumna pojazdów. Z przodu otwierały ją bączki. Tak samo śmiertelne, jak brzytwy, posługujące się takim samym kolistym ostrzem, lecz zamiast nóg miały gąsienice. Nazwane zostały tak dlatego, że trafione w którąkolwiek gąsienicę, robiły bączki w miejscu. Poruszały się szybko, dwieście metrów przed kolumną, co chwila, przystając i skanując teren w poszukiwaniu zagrożeń. Śmierdziel podniósł palec wskazujący i zaczął nim delikatnie uderzać w czubek nosa. Długo czekał na tę chwilę, lecz wiedział, że jedna niedokładność może zniweczyć cały włożony wysiłek i posłać wszystkich do piachu bez wyjątku. Ufał Hernandezowi, że prawidłowo rozłożył tak ekrany, lecz w jego głowie cały czas pojawiała się i gasła nutka niepewności.

Bączki przejechały pod wiaduktem kolejowym i stanęły na skrzyżowaniu 3-go Maja i Piłsudskiego. Tutaj zatrzymały się dłużej, aby przeskanować budynki wzdłuż ulicy 3-go Maja. Stukając w czubek nosa jeszcze mocniej, Śmierdziel patrzył w ekran monitora. Gdy jeden z bączków ruszył do przodu, a trzy inne zostały na miejscu, poczuł potężny uścisk w żołądku, jakby ktoś mu włożył do brzucha wielką stalową kulę.

- Wyczuli coś? – szepnął w kierunku stojącego obok Hernandeza.

- Nie ma wątpliwości. – szepnął Hernandez. – To taka ich taktyka, jeden wjeżdża na ulicę, a reszta go obserwuje. Dopiero gdy przeskanuje ulicę, reszta do niego dołącza.

- Chyba możliwości?

- A racja.

Śmierdziel pokręcił głową, przeklinając w myślach polski Hernandez. Krótka wymiana zdań wprowadziła spokój w jego myśli i znów był Śmierdzielem, generałem i dowódcą Pasa Południowego. Teraz już ze spokojem obserwował, jak bączek skanuje pozbawione okien budynki na 3-go Maja.

Śmierdziel w dniu inwazji walczył w Katowicach, więc przebieg walk w Sosnowcu, znał tylko z relacji niewielu ocalałych. Pierwszym celem ataku był dworzec kolejowy. Dworzec był pełen ludzi, którzy usiłowali się dostać gdziekolwiek, aby jak najdalej uciec pociągiem od tego miejsca. Dron, którego później nazwano ważką, ze względu na podwójne skrzydła po każdej ze stron i smukły, cienki kadłub, uderzył w dworzec. Eksplozja była tak potężna, że z dworca zostały tylko kikuty, a fala uderzeniowa zniszczyła do fundamentów szklany budynek obok dworca i wyrwała na 3-go Maja wszystkie okna. Nikt wtedy nie wiedział, że Poranie jak nazwano ich później, lub Ufolce, których nazywano tak wtedy, mogą kontrolować każdą eksplozję. Dlatego eksplozja najwięcej szkód wyrządziła od torów kolejowych, do torów tramwajowych. Wszyscy, którzy byli na dworcu, bez wyjątku zmienili się w krwawą miazgę, która poleciała we wszystkie strony. Wbiła się w każdy z kikutów dworca i to tak głęboko, że najpierw narożniki były czerwone, a z czasem zmieniły się w czarne i żaden deszcz nie mógł zmyć tej czerni.

Po ataku na dworzec w Sosnowcu pojawiły się mechy. Jechały tą samą drogą co bączki przez osiedle Piastów. Jeśli w jakimś budynku wykrywały opór, natychmiast równały go z ziemią. Gdy przejechały pod wiaduktem i wjechały na Rondo Praw Kobiet, pierwszy z nich dostał z granatnika z

narożnego bloku na 3-go Maja. Reszta mechów natychmiast odpowiedziała ogniem, równając blok do fundamentów i niszcząc przy okazji niskie pawilony. Na ironie zakrawa fakt, że z granatnika strzelała porucznik Wolska, która zginęła wraz z budynkiem z pocisku wystrzelonego z Ronda Praw Kobiet. Na tym walki w centrum Sosnowca się zakończyły. Mąż Wolskiej, który widział z bliska śmierć swojej żony, został piętnaście lat później dowódcą Pasa Południowego, a po jego śmierci dowództwo przejął Śmierdziel.

Śmierdziel nie zaprzętał sobie głowy, tym co było. W tym momencie ważyły się losy całej operacji. Patrzył jak zahipnotyzowany w ekran monitora i zastanawiał się, czy bączek ich wykrył, czy nie. W końcu bączek zakończył skanowanie ulicy i wolno ruszył przez rumowisko z bloku, w którym zginęła Wolska. Za nim ruszyły trzy pozostałe bączki. Śmierdziel westchnął głęboko z ulgą.

Na Rondo Praw Kobiet wjechała reszta konwoju. Konwój prowadził mech, wbijając się w asfalt swoim wielkim srebrnym cielskiem, za nim jechał pojazd opancerzony. Był dłuższy i niższy od mecha, pomalowany na czarno, o ogromnych kołach, które wystawały nad przednią część pojazdu. Z przodu miał silnik, a z tyłu oszklonym kabinę o czarnych szybach. Śmierdziel patrzył na pojazd, jak dziecko, które za szybą widzi swoją ukochaną zabawkę.

- A jednak przybyłeś. – szepnął do siebie.

Kolumnę zamykały dwa mechy i cztery brzytwy. Gdy dołączyły, kolumna ruszyła przez rumowisko w kierunku Patelni i czekających tam bączków.

Z powodu rumowiska na drodze, kolumna poruszał się bardzo wolno, i z tego powodu cały czas, brzytwy i bączki skanowały teren. Dopiero gdy minęli rumowisko na wysokości dawnego sklepu kibica, kolumna ruszyła szybciej, a bączki i brzytwy przestały skanować teren. Śmierdziel widział to na monitorze, bo nagle zniknęły zielone rozkłyski ekranu.

- Grupa jeden i trzy, przygotować się. - bezbarwnym pozbawionym emocji głosem, powiedział do mikrofonu Śmierdziel.

Kolumna przyspieszyła i szybko znalazła się na wysokości dawnego budynku PKO BP.

- Jeden, trzy. Ognia. – krzyknął Śmierdziel do mikrofonu.

Hernandez wyłączył ekrany dla obu grup i z rumowiska które pozostało po budynku PKP Informatyka, w kierunku bączków posypały się kule. Równocześnie z miejsca, w którym kiedyś stał szklany budynek, ogień otworzyła trzecia grupa, strzelając do brzytw. Jeden z bączków szybko zmienił kolor na fioletowy i eksplodował. Stojący obok niego bączek, trafiony odłamkiem od eksplodującego bączka, zaczął kręcić się w miejscu, robiąc bączki i wystrzeliwując ostrza w kierunku ruin PKP Informatyka. To samo uczyniły też dwa pozostałe jeszcze sprawne bączki i po kilku sekundach nikt już nie strzelał w ich kierunku.

Brzytwy miały mniej szczęścia, bo dwie zostały trafione, nim zdążyły wystrzelić ostrza. Dwie pozostałe wystrzeliły ostrza, lecz nim ostrza dosięgły celu, jeszcze jedna z brzytw zrobiła się fioletowa i padła na asfalt.

- Grupa druga i czwarta przygotować się. - Śmierdziel wydał kolejne polecenie.

Brzytwy i bączki ruszyły na rumowisko w poszukiwaniu rannych, których mogliby dobić. Nie spieszyły się, poruszały się wolno, cały czas metodycznie skanując teren. Gdy były już na rumowisku, Śmierdziel uruchomił grupę drugą i czwartą. Brzytwy i bączki znalazły się w pułapce, bo ogień dostali od tyłu z miejsca, które już zdążyły przeskanować.

- Tak, krwie syny. - krzyknął Śmierdziel.

Radość jednak nie trwała długo, bo po chwili mechy odpaliły rakiety w kierunku obu grup i przestały one odpowiadać ogniem. Smutek pojawił się w oczach Śmierdziela, gdyż każdego ze swoich ludzi znał osobiście i wiedział kogo i gdzie wysłał. Dwa mechy ruszyły na rumowisko, aby go oczyścić.

- Piąta grupa przygotować się. - a po chwili rzucił krótko w kierunku Hernandeza. - Wyłącz ekran piątki. - Piąta ognia.

Odpowiedziała mu cisza. Nie usłyszał klekotu karabinu maszynowego. Tylko cisza, która dzwoniła w jego uszach. Na chwilę zwątpił, lecz była to tylko chwila zwątpienia.

- Szósta przygotować się. Hernandez ekran. Szósta ognia. – z szybkością karabinu maszynowego Śmierdziel wydał rozkazy.

Z rumowiska gdzie było wejście na dworzec, odezwał się karabin maszynowy w kierunku stojącego przy czarnym samochodzie mecha. Mech przejechał do tyłu, aby zasłonić czarny samochód przed ogniem i odpalił rakietę w kierunku grupy szóstej.

- On się nie ruszyć, - ocenił sytuację Hernandez. - taka być ich taktyka.

- On się nie ruszy. – warknął wściekle Śmierdziel. - Naucz się w końcu polskiego. Przepraszam. - wziął głęboki oddech i wypuścił głośno powietrze. - Pole minowe.

- Włą ... włącz. - zająknął się Hernandez.

- Włączaj pod mechami.

- Ja robić.

Gdym wiedział, że się potknę, to bym usiadł. Gdyby mechy wiedziały, że wjeżdżają na zamaskowane pole minowe, to nigdy by nie wjechały na rumowisko. Dowiedziały się jednak tego, gdy Hernandez wyłączył pod nimi ekrany i miny się aktywowały. Mech, który był na rumowisku szklanego budynku, natychmiast stracił wszystkie koła i osiadł na rumowisku, czym aktywował kolejne miny. Parę krótkich i niezbyt głośnych wybuchów i zmienił się kupę złomu. Drugi mech nie dojechał nawet do rumowiska PKP Informatyka. Miny oderwały mu cztery koła z przodu. Zaczął się cofać i wtedy Hernandez wyłączył ekrany min za nim. Dwie ciche eksplozje, trzecia, gdy osiadł i mech zakończył swój żywot.

Śmierdziel jednak nie miał powodu do radości. Trzeci mech, który był fortecą na kołach, stał przy czarnym samochodzie i widać było jak intensywnie, skanuje teren.

- Można go jakoś ruszyć? - spytał w pustkę.

- Nie. - cicho odpowiedział Hernandez.

- Timken, przygotujcie się. - powiedział Śmierdziel do mikrofonu. Będzie, mieli tylko jeden strzał, po wyłączeniu ekranów.

- Rozumiemy generale. Walczyć dla pana to był zaszczyt.

- To ja czuję się zaszczycony, mając takich ludzi. Przygotujcie się.- Smutek znów zagościł w jego głowie, lecz tylko na małą chwilę.- Hernandez na mój rozkaz wyłączysz ekrany na Timkenie. Trzy, dwa jeden, ognia.

Z wieżowca, który dumnie kiedyś wznosił się na Patelnię z czarnym szyldem na środku, gdzie pomarańczowymi literami napisano Timken, z napisu została już tylko „T”. Jednak Śmierdziel pamiętał napis i dlatego nazwał ten punkt „Timken”. Umieścił na nim najlepszych swoich pięciu ludzi, choć miał nadzieję, że będą tylko zabezpieczeniem. Gdy Hernandez wyłączył ekrany, mech od razu złapał ich na skanerze. Zobaczył też, że w jego kierunku lecą cztery pociski z granatników. Wystrzelił dewastatora budynków i dwie rakiety przechwytyjące, bo tyle miał wyrzutni. Nim zdążył załadować dwie kolejne rakiety, dwa pociski wbiły się w jego pancerz. Tym razem eksplozja godna była tych, co strzelali. Mech eksplodował pióropuszem ognia, a jego wieża sterująca wyleciała nad budynek „Timkena”, jakby chciała powiadomić tych, co strzelali „udało się wam chłopaki”. Oni jednak już tego nie widzieli, bo gdy tylko pociski dopadły mecha, dewastator budynków dopadł celu. Przez ułamek sekundy nie działo się nic, lecz chwili ciszy, budynek runął jakby był domkiem z kart. Część gruzu rozsypała się na ulicy Warszawskiej, lecz większość wpadła do przejścia podziemnego, nad którym wznosił się budynek i na ulice 3-go Maja. A ponieważ przy uderzeniu dewastatora nie wydziela się ani gram kurzu, rumowisko wyglądało, nie jakby powstało przed chwilą, lecz było tu od zawsze.

Śmierdziel jednak nie miał czasu patrzeć na skutki swoich decyzji. Jak tylko mech eksplodował, krzyknął do mikrofonu, to na co czekał od początku bitwy.

- Grupa szturmowa do ataku.

Hernandez wyłączył ekrany i dwa pociski z granatnika wystrzelone zza witryny PKO BP trafiły czarny samochód, odcinając przód od reszty. Przez witrynę szybko przelała się grupa dwudziestu szturmowców. Kula jako pierwszy doskoczył do samochodu i założył ładunek drzwi.

- Wybuch. - krzyknął i schował się za tył samochodu.

Nacisnął wyzwalacz i wybuch wyrwał drzwi. Coca Cola, będący najbliżej, szybko dobiegł do otworu drzwi i zginął od pistoletu, który Porianin trzymał w dłoni. Kula odsunął Coca Colę i strzelił Porianinowi w dłoń. Ręka Porianina rozpadła się i zawisała na płataninie kabli. Kula podniósł lufę pistoletu i strzelił Porianinowi w szyję, uszkadzając wszystkie jego serwomechanizmy. Porianin zastygł w pozycji z jedną ręką w górze i głową zwróconą w jej kierunku. Tylko ręka, którą przed chwilą Kula odstrzelił, dyndała swobodnie na przewodach, to w lewo to w prawo.

Brutalnie Kula wyszarpnął Porianina z kabiny i rzucił go sobie na plecy, jak pasterze niosą owieczki. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, a grupa szturmowa zaczęła wiwatować, podnosząc karabiny góra, dół i strzelając w powietrze. Gdy jednak zjawił się Śmierdziel, wszystkie wiwaty ucichły.

- Żyje?

Kula kiwnął głową.

- Do samochodu z nim. Szerszeń do mnie.

Szerszeń był niską, drobną kobietą o małym biuście i wielkim nosie. Nie lubiła być kobietą, dlatego była obcięta na łyso i nosiła workowate ciuchy.

- Tak jest generale.

- Zabierzesz ludzi z grupy szturmowej oraz tych, co przeżyli i udasz się do punktu cztery na Milowicach.

- Dlaczego tam?

- Tego punktu nie znają ludzie z grupy piątej.

- Rozumie. Co zrobić z ludźmi z grupy piątej jak ich znaję.

- Nic. Oni przestali dla nas istnieć. Możesz ogłosić to wszystkim.

- To dla nich wyrok śmierci.

- A co? Sama – zrobił pauzę, pamiętając, aby nigdy nie zwracać się do Szerszenia jak do kobiety. - Sam chcesz ich rozstrzelać.

- W sumie racja.

- Zabieram ci Kule. Nie będę tego palanta targał w pięciu. Podobno ten kombinezon waży z siedemdziesiąt kilo, a Kula go niesie jak piórko.

- Znów będzie szykanowany.

- Sam osobiście zęby wybije temu, kto powie do niego pedał.

- Gej – poprawiła go Szerszeń.

- O przepraszam. Jak dotrzesz do punktu z wszystkim ludźmi, to weźmiesz z pięciu i spotkamy się na jedyne w Będzinie.

- Czemu nie wszystkich?

- Bo ta misja jest samobójcza, od początku do końca. Jak nas znajdą, to nieważne ilu nas będzie, rzuca całą swoją potęgę i będziemy martwi.

- Dobra.

- Hernandez.

- Tak.

- Jak długo będą działać ekrany?

- Cztery do pięć godzin.

- Szerszeń. W dwie godziny musisz być w Będzinie.

- Zrobi się.

- Jeśli nie zdołasz, to odpuść.

- Tak jest. - Szerszeń miał powiedzieć „wiem”, ale ugryzł się w język.

Kula stanął przed Śmierdzielem i zasalutował.

- Ufolec w samochodzie i możemy ruszać.

- To ruszajmy. Wiesz Szerszeń co robić?

- Wiem. - a w myślach dodała — Mamusiu.

Będzin, godzinę później.

Dojazd bocznymi drogami do Będzina i rozstawienie ekranów, zajęło oddziałowi prawie godzinę.

Będzin nie ucierpiał podczas wojny jednodniowej, gdyż nie było w nim żadnych walk. Mieszkańców Będzina przesiedlono do Strefy Katowickiej, dlatego po wojnie stał się miastem martwym. Natura, czas, pożary, których nikt nie gasił, odcisnęły na mieście swoje piętno, lecz największe spustoszenie zrobili Porianie, którzy stoczyli w mieście dwie bitwy z bezstrefowcami. Pierwszą była strzelanina, która wymknęła się spod kontroli i spowodowała, zrównanie z ziemią dzielnicy na wysokości zwanej Syberką. Drugą była bitwa z oddziałami Śmierdziela, która wprawdzie skończyła się zwycięstwem Śmierdziela w poniedziałek, lecz we wtorek, gdy oddziałów Śmierdziela już w mieście nie było, Porianie zrównali z ziemią centrum Będzina. A ponieważ nie użyli dewastatorów budynków, tylko burzycieli obszarowych, po uprzątnięciu gruzu i zrobieniu wejść, Śmierdziel urządził kwatery w piwnicach, łącząc je tunelami. Kwatery były cztery i każda w innej części miasta. Porianina jednak zabrano do kwatery numer pięć, którą zrobił Śmierdziel z zaufanymi ludźmi i nigdy z niej nie korzystał. Znajdowała się ona obok dworca kolejowego, z którego zostały tylko gruz i powyginane szyny. Kwaterę tworzyły piwnice dwu budynków. Policji i budynku przy dworcu, który kiedyś miał trzy piętra, a został z niego tylko zarys bramy. Kula, gdy tylko dowiedział się, że można, wyjął Porianina z bagażnika samochodu i niosąc go znów jak owieczkę, zaniósł do małej piwnicy, w której był tylko materac i żarówka wisząca pod sufitem. Żarówka dawała mało światła, więc w pomieszczeniu panował półmrok. Kula cisnął Porianina na materac i ustawił go tak, żeby był w pozycji siedzącej.

- Wygodnie skurwielu? - spytał z dużą dawką nienawiści w głosie. - Wiesz, co jest najgorsze? - Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, więc kontynuował. - Zabiliście całą moją rodzinę, a ja nawet nie mogę cię dotknąć, bo generał zabronił. Jednak jest też pozytyw w tej sytuacji, bo w końcu będziemy musieli cię zabić, a wtedy zgłoszę się do tego jako pierwszy. Wyszarpie twoje cherlawe ciało z pancerza i gołymi rękami rozszarpie cię na małe kąski. Wolniutko, powoli, kawałek po kawałeczku, abyś cierpiał tak jak ja.

- Zostaw nas. - Kula usłyszał z tyłu głos, który znał bardzo dobrze i wyprężył się na baczność.

- Tak jest generale.

Wchodząc do pomieszczenia Śmierdziel, szedł wolno, jakby zastanawiał się nad każdym krokiem, lub napawał się swoim sukcesem. Jego oczy, które zawsze tańczyły, tym razem obserwowały tylko Porianina. Stanął w rozkroku dwa kroki od niego i założył ręce do tyłu.

- Przepraszam za moich ludzi. Są zbyt podjarani schwytaniem ciebie i mają bardzo długą listę krzywd do wyrównania.

Wyjął z pomiętej paczki papierosa, postukał nim kilka razy w wierzch dłoni i zapalił, wydmuchując dym w kierunku Porianina.

- Podobno nie lubicie papierosów, a niektórzy nawet mówią, że dym tytoniowy wam szkodzi. Te są strasznie gówniane, nie to, co przed wojną. Wtedy to było co palić. To też mi odebraliście.

Palił przez dłuższą chwilę, patrząc na niebiesko czerwony skafander Porianina, wyglądający jakby ktoś go wyjął żywcem z tandetnych bajek dla dzieci. Gdy skończył, opuścił niedopałek na podłogę i zdusił go butem. Z rogu pokoju wziął krzesło, ustawił metr od Porianina i usiadł. Wyjął drugiego papierosa i zapalił.

- Powiesz coś w końcu? - spytał, jakby nie spodziewał się odpowiedzi. - Kula uszkodził ci tylko serwomechanizm i kończynę, ale mówić możesz do końca.

- Papierosy są szkodliwe dla was, nie dla nas. My nie oddychamy waszym powietrzem, więc nam wszystko jedno, jakie ono jest. - głos miał metaliczny, jakby puszczony przez automatycznego tłumacza.

- Miło mi. Jestem Śmierdziel. A ty?

- Nie wiesz, kogo złapałeś?

- Kolaboranci nazywają cię Donut i tak cię będę ja nazywał. Jesteś szefem wydziału piątego, czyli tłumacząc na nasze, gaulajterem Europy.

- A ty jesteś generał Śmierdziel, dowódca Południowej Grupy Bojowej, która do wczoraj liczyła sto dwadzieścia sześć zwierzątek.

- Nie nazywaj nas zwierzętami.

- Dopóki chcesz mnie żywego, mogę nazywać was, jak chce. A nawet jak zmienisz zdanie, to i tak będziecie tylko zwierzątkami.

- Pewny jesteś, że nie chce cię zabić? - z wyraźną kpina w głosie spytał Śmierdziel. - A może chce tylko po napawać się chwilę i strzelić ci w łeb.

- Znam wszystkich szkodzących nam dowódców oddziałów. Oczywiście nie osobiście i dlatego wiem, że gdybyś chciał mnie zabić, to nie poświęciłbyś swoich ludzi dla marnej chwili triumfu.

- Skoro tyle o mnie wiesz, to może też wiesz, dlaczego cię schwytałem.

- Tego nie wiem, ale zaraz się dowiem, więc nie chce mi się snuć domysłów.

- Nawet najmniejszego, malutkiego domysłu?

- Tym się od was różnimy. Nie tracimy czasu na jałowe myślenie. Wy myślicie, a my już zaczynamy działać.

- Bo zawsze jak coś spieprzycie, to wezwiecie kawalerie, która przybędzie ot tak, - Śmierdziel strzelił palcami. - i wszystko naprawi.

- Błędnie myślisz, że jak ma się wszystko, to nie trzeba się o nic martwić. My myślimy na innych płaszczyznach. Gdy wy stworzycie jedną myśl, my mamy już pięćdziesiąt tysięcy jej wariantów.

- I wśród tych tysięcy wariantów, nie znajdujesz tego, dlaczego tu jesteś.

- Prowadzimy tę jałową dyskusję, a ja już ułożyłem setki zdań, które zaczynają się od słów, jeśli jestem tu z powodu i tu wstawiłem wszystkie możliwe powody, potem słowo to i wszystkie możliwe rozwiązania. Sporo tego już mam w pamięci. Może zatem powiesz mi, dlaczego tu jestem i nie będę musiał tworzyć nowych wariantów, tylko ograniczę się do jednego.

- Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić.

- Co? - w metalicznym głosie Donuta, Śmierdziel wyczuł lekką nutkę intonacji.

- Tak żarcik mający zupełnie inne znaczenia niż się mówi.

- Ja się nie śmieję.

- A wy macie w ogóle poczucie humoru?

- Mamy, ale zupełnie inne niż wy.

- A ja myślałem, że włączeni czy wyłączeni, jesteście tak samo sztywni.

- Obrażać mnie możesz do woli. Nie rusza mnie to, jak mówicie. I tak w końcu będzie na moje.

- Pewny jesteś?

- Łamaliśmy już potężniejszych od was. A wy jesteście jednymi z najgłupszych zwierzątek. Śmierdziel ze złością cisnął papierosa w głowę Donuta. Papieros odbił się od kasku, stworzył dziesiątki iskier i upadł na materac.

- Nie nazywaj nas zwierzętami. - syknął Śmierdziel, podniósł papierosa z materaca i rzucił go w róg pomieszczenia.

- Powtarzasz się. To tylko forma. Dla nas każda rasa, która nie potrafi myśleć na kilku platformach jednocześnie, jest zwierzęciem. Może kiedyś trafimy na potężniejszych od siebie i wtedy to my dla nich będziemy zwierzątkami. - zrobił pauzę. - Jak na generała, łatwo się unosisz. No ale co się spodziewać po kimś, kto nazywa się Śmierdziel. Nie wiem, czy w całej waszej historii był choć jeden generał o nazwisku Śmierdziel. Było za to masę takich, których imiona robią na wszystkich wrażenie, Juliusz Cezar, Napoleon, Patton. Nawet generał mróz brzmi groźnie, a Śmierdziel?

- Takie imię nadano mi na chrzcie bojowym i z dumą go noszę.

- To dumny ze swego imienia, może mi w końcu powiesz, w jakim celu mnie złapałeś?

- Chcemy. - zrobił pauzę. - bardziej dla efektu, niż dlatego, że nie wiedział, co ma mówić. - Chcemy, abyście nie rozszerzali Strefy Katowickiej.

- Obawiam się, że twoi ludzie zginęli na marne.
- Dlaczego? Przecież nie żądamy rzeczy nierealnych?
- Kodeks Podboju zakazuje nam negocjować ze zwierzętami.
- A co to jest Kodeks Podboju?
- Zbiór zasad, którymi musimy się kierować na podbijanych planetach.
- I tak się go kurczowo trzymacie.
- To dziedzictwo naszych podbojów. Po każdej klęsce analizujemy ją bardzo dokładnie i wstawiamy rzeczy, których robić nie wolno do Kodeksu Podboju, aby nie popełnić dwa razy tego samego błędu.
- I co mówi kodeks o takiej planecie jak nasza?
- Nie możemy dopuścić do eksterminacji planety, bo nie posiadacie technologii, która umożliwia podróż na naszą planetę i nie będziecie posiadać jej przez sto i więcej lat. Nie wolno nam mordować przy pomocy głodu lub chorób. Nie wolno nam też wyjąłować planety. Tyle wystarczy, bo kodeks ma dwa tysiące trzysta dwadzieścia trzy strony.
- Dwa tysiące stron bzdetów. Widziałem ten wasz kodeks w akcji podczas wojny jednodniowej. Na moich oczach, brzytwa ucięła głowę osiemnastoletniej dziewczynie, tylko dlatego, że krzyknęła.
- Mylisz dwie rzeczy. To, co widziałeś w Katowicach to była inwazja, której celem jest zneutralizować i przestraszyć przeciwnika. Tu nie obowiązuje Kodeks Podboju, tylko wojenna taktyka, więc kto dostanie się pod ostrze, ten ginie. Gdy jak wy to mówicie, ucihną działa, wtedy nasz rząd wydzierzawia planetę firmie, czyli nam. A my od pierwszego dnia dzierżawy, jesteśmy zobowiązani przestrzegać Kodeksu Podboju.
- Zwłaszcza widzę to przy paśnikach. Jedzenia nigdy nie starcza dla wszystkich.
- Kodeks nie mówi, że zwierzątka mają być najedzone, tylko nie mają chodzić głodne. My dajemy tyle jedzenia, aby starczyło dla wszystkich na zaspokojenie głodu. A że ktoś chce być najedzony kosztem innych, to już nie nasza sprawa. Jednak zwierzątka spoza Strefy Katowickiej nie narzekają. Wiem, że dystrybucje żywności trzymasz żelazną ręką, a są takie miejsca poza strefami, gdzie zwierzątka umierają z głodu, lub walczą o jedzenie. Kto chce się najeść, może wrócić do strefy. Choć dla ciebie byłby to ostatni posiłek.
- Niedoczekanie wasze. – wskazał palcem Donuta i po chwili dodał. - Medycyna wasza też nie jest na najwyższym poziomie. Tylko podstawowe leki.
- A czego się spodziewasz? Że będziemy was leczyć, a wy sobie będziecie nam szkodzić. Chcesz się leczyć, to idź do strefy. Gwarantujemy każdemu najlepszą opiekę medyczną. Są strefy, gdzie nikt nie umarł przez choroby.
- Tylko z innego powodu. Co będzie, jak wybuchnie jakaś epidemia.
- Opanujemy ją.
- Tak jak w Nowym Yorku?
- To nie była epidemia, jeśli chcesz wiedzieć, tylko głupota. Bezstrefowcy z Nowego Yorku złapali jednego z naszych. Nie wiem, czego chcieli i mnie to nie interesuje. Otworzyli jego pancerz, może z ciekawości, a może z zemsty. My w waszym powietrzu nie przetrwamy nawet kilku minut. Efektem czego jeden z naszych zmarł. Z amerykańkami mieliśmy spore problemy i nagle rozwiązali nam ręce. Od tej chwili nie chronił zwierzątek już Kodeks Podbojów, więc przy pomocy czegoś podobnego do waszej broni chemicznej, wyczyściliśmy z bezstrefowców z całego wybrzeża. Nikt nie przeżył, a przez rok teren między strefami był tak skażony, że nie dało się tam żyć. W strefach natomiast nie ucierpiało żadne zwierzątko.
- Rasa panów. – syknął Śmierdziel z obrzydzeniem w głosie.
- Nie. Nie czujemy do was ani nienawiści, ani wyższości w stosunku do was.
- I cały nas nazywacie was zwierzętami.
- Jesteście na niższym poziomie rozwoju umysłowego. Nasze CDI to ponad cztery tysiące, wasze przeciętne to górą pięćset. Ty z pewnością masz wyższe, lecz ludzie ze stref mają dwieście górą trzysta i tylko najlepsi podnoszą statystykę.

- Co to jest CDI?
 - Jakbym ci powiedział, to bym musiał cię zabić.
 - Żartowniś. Widziałem panie dowcipny, filmiki z Nowego Yorku, jak otwierali pancerz jednego z waszych. Naprawdę macie po pół metra wzrostu.
 - Nawet mniej, ale dla was specjalnie zaprojektowaliśmy pancerze, w których jesteśmy znacznie wyżsi.
 - I takie kurduple nami rządzą?
 - Teraz to ty jesteś rasistą według waszych kryteriów.
 - Gadaj zdrow. Po inwazji wszystko się zmieniło. Teraz jest się w strefie lub poza nią. My uważamy tych w strefie za prymitywów, oni uważają się za cywilizowanych i mają nas za prymitywów.
 - Byleś kiedyś w strefie?
 - Nie mam zamiaru tam się zjawić.
 - Nie chcesz poznać miejsca, gdzie nie ma głodu, chorób, gdzie wszyscy są równi, niezależnie od tego, czym są. Każdy może, być kim chce i nie musi tego ukrywać.
 - Wiem, do czego zmierzasz, ale nie lubię pedałów. – a po chwili Śmierdziel krzyknął do korytarza.
 - Sory Kula.
 - Nie ma sprawy generale. – odpowiedział Kula z korytarza.
 - Dla ciebie już za późno, bo nie robimy wyjątków, ale inni niż ten twój podwładny, którego przed chwilą obraziłeś, mogą być szczęśliwi w strefie. Dla nich jest jeszcze czas.
 - Droga wolna, choć to bilet w jedną stronę, bo my nie przyjmujemy nikogo z powrotem. Tak jak wy, nie robimy wyjątków.
 - Czyli nie taka wolna.
 - A u was co? Do trzydziestki, można strefę opuścić. Potem zakładacie ostateczny chip i już się strefy nie opuści.
 - Jesteśmy biznesmenami, pilnujemy swojej inwestycji. Nie po to kogoś hodujemy przez trzydzieści lat, żeby sobie nagle uciekł poza strefę. Jednak do trzydziestki każdy ma wolną drogę.
 - Widziałem tych z wolną drogą. Nawet roku nie przeżywają bez waszych leków.
 - Do trzydziestki piątki, każdy ma mieć idealne zdrowie. Są tacy, którzy nie kosztują nas nic, a są tacy, których leczenie kosztuje. Nie mówimy im o tym, tylko dajemy określone leki. Gdy wyjdą za strefę, to nie mamy obowiązku ich leczyć.
 - No weź. – z kpina w głosie rzucił Śmierdziel. - Naprawdę niczego nie dorzucacie do leków?
 - Zakazuje nam tego Kodeks. Poza tym nie widzę w tym żadnego sensu. Większość uciekinierów przed rokiem wraca, więc musielibyśmy wydać więcej na ich leczenie.
 - A ci, co nie wrócą.
 - Jak wy to mówicie, pies ich drapał. Wyłapywanie poza strefą jest drogie, dlatego jest nieopłacalne. Poza tym, u was głód, choroby, więc kto by chciał tu siedzieć dłużej. No może poza tymi, którzy już nie mają wyjścia.
 - Nie wspomnę o tym, że niszcycie nasze pola uprawne, bombardujecie gospodarstwa rolne i niszcycie uprawy leczniczych ziół. Nie jest działanie, aby u nas było jeszcze większe dziadostwo?
 - Hodowla żywności w waszych warunkach jest niehigieniczna, a leki to już katastrofa.
 - Nim przybyliście, wiele z tych ziół ratowało ludziom życie, a nasi dziadkowie uprawiali pola i hodowali zwierzęta od zawsze. I nagle to wszystko jest niehigieniczne. No weź.
 - Czasy się zmieniają, a wy poza strefą nadal jesteście w przeszłości.
 - Obrażasz mnie, choć jesteś na mojej łasce.
 - Mogę, mówić co chcę, bo jeśli mnie zabijesz, to wiesz, co się stanie. Zatem nie masz dużego wyboru.
 - O tym zdecydują moi ludzie, a ja się podporządkuję ich woli.
 - Myślałem, że jako generał masz głos decydujący, a ty nawet nie dowodzisz.
- Śmierdziel podszedł blisko do Donuta i przyłożył mu lufę do głowy.
- Chcesz, abym nacisnął spust?

- Ulżyj sobie, jak chcesz skazać wszystkie zwierzątka w okolicy na śmierć. Masz tyle odwagi, czy starcza ci jej tylko na posłanie zwierzątek na pewną śmierć.

Śmierdziel ze złością uderzył lufą kałasznikowa w głowę Donuta i odsunął się od niego dwa kroki.

- Wiedzieli, na co się piszą.

- Tego właśnie nie rozumie w was zwierzątkach. Poświęćcie się dla jakieś idei, która może się okazać mrzonką i wiecie o tym, a mimo to walczyście do swojego końca.

- A wy co?

- U nas jest to nie do pomyślenia.

- Dlatego, to my w końcu wygramy. – powiedział z dumą w głosie.

- Niedoczekanie wasze, jesteśmy od was lepsi pod każdym względem. Jednak jak wy to mówicie, nadzieja umiera ostatnia.

- Co robicie z tymi, którym się uruchomił chip ostateczny, czyli Ostatecznymi jak nazywają ich kolaboranci.

- Zadaj właściwie pytanie, to otrzymasz odpowiedź.

- Ty kurwo. – syknął Śmierdziel. Dopiero po chwili dodał. – Co robicie ze zwierzątkami, którym się uruchomił chip ostateczny.

- A co wy robiliście przez lata ze zwierzętami?

Przez dłuższą chwilę panowała denerwująca cisza, której ani Śmierdziel, ani Donut nie chciał przerwać. Pierwszy odezwał się w końcu Donut.

- Wasze ciała to odpad. Idą głównie na paszę. Mamy paru odbiorców na mięso, ale nie jest to towar, po który ustawiałyby się kolejki.

- Możecie przecież hodować nasze zwierzęta.

- Nam nie chodzi o mięso, tylko o mózgi. Jak myślisz, dlaczego mechy, brzytwy i wszystkie nasze maszyny mogą działać niezależnie? – odpowiedział dopiero o chwili. – Bo mają mózg innych zwierzątek. Wasz też się do tego nadaje, choć Kodeks Podboju zakazuje używać do maszyn mózgów z tej samej planety, więc raczej do swoich pobratymców nie strzelacie.

Śmierdziel wyjął papierosa i zapalił. Palił wolno, nie spiesząc się, jakby odwołując to, co chce powiedzieć.

- Jesteście przerażającą rasą. – wydusił z siebie, gdy już nie mógł palić papierosa, bo został mu tylko sam filtr do palenia.

- My? A ile waszych narodów, uznanych za cywilizowane eksterminowało tych, których mieli na niższym poziomie rozwoju? Nagle spojrzeliście w lustro i stwierdziliście, że jesteście brzydki. Znam bardzo dobrze waszą historię. Dlatego tak łatwo było was skolonizować. Pokazać jednym, że są lepsi od drugich i czynicie najgorsze podłości.

- Nie wszyscy tak myślą.

- Pogadaj z tymi ze strefy. Sam już mówiłeś, że mają was za prymitywów. Gdyby dać im broń, to sami by was zaczęli wyłapywać i to z większą brutalnością niż my.

- Dlaczego więc nie dajecie.

- Bo Kodeks Podbojów zakazuje uzbrajania kolaborantów.

- Sprytne. Muszę przyznać, że mądry jest ten wasz kodeks. U nas wszyscy o tym wiedzieli, lecz zawsze popełniali te same błędy. Choć u was jest prościej, bo macie maszyny.

- Jak ich nie było, to musieliśmy walczyć sami. Wtedy powstało najwięcej punktów Kodeksu Podboju. Potem już się tylko dopisywało mniejsze fragmenty.

- Wtedy też eksterminowaliście obszary za zabicie jednego z was?

- Eksterminowaliśmy kontynenty, a nawet planety. To dawne czasy. Teraz interesuje nas tylko kasa i wszystko jest jej podporządkowane.

- Jesteśmy tylko dla was kasą?

- Ta planeta to farma, nic więcej.

- Nie wiesz, jaką mam ochotę rozerwać ten twój pancerz i powiedzieć ci prosto w twarz co o tobie sędzę. – syknął wściekły Śmierdziel.

- I tak bym nie usłyszał, bo translator jest w pancerzu.

- Ale moją wściekłość byś poczuł.

- Marna satysfakcja za tysiące martwych zwierzątek.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź, ale mojego ataku nie przewidziałeś.

- Przewidziałem, zwłaszcza jak wasz posterunek wysłał informację o wyjściu mojego konwoju poza strefę.

- To, co poszło nie tak, że dałeś się złapać?

- Nic. Wziąłem tyle maszyn, ile było potrzebnych. Od trzech lat atakujecie tylko grupami po góra dziesięć osób. Po co więc brać całą armię na dziesięć osób. Gdyby to była tak mała grupa i zobaczyła, ile jest maszyn, to nawet nie próbowałaby atakować, no chyba, że to jacyś samobójcy. Nie przypuszczałem tylko, że zmienicie taktykę i zaatakujecie znacznie większą grupą.

- To nie była zmiana taktyki, tylko precyzyjnie obmyślana zasadzka.

- Precyzyjnie, może, lecz dlaczego nie użyłeś nowych ekranów? Straty byłyby znacznie mniejsze.

- A są nowe ekrany? – spytał Śmierdziel i ugryzł się w język. Teraz już na pewno nie usłyszysz, jakie są nowe ekrany.

- Są. – I cisza.

- A coś bliżej?

- W sumie, skoro już wiesz, że coś jest, to i tak dowiesz się wszystkiego od zaprzyjaźnionych z wami kolaborantów. Nowe ekrany wprowadziliśmy, widząc waszą żalosną taktykę wyłączania ekranów przed strzałem. Przez nowe można strzelać. A teraz pomyśl, ile mniej ludzi dziś byś stracił?

- Nie twoja sprawa. – syknął i zapalił kolejnego papierosa. - Masz mi jeszcze coś do powiedzenia, nim moi ludzie zdecydują co z tobą zrobić?

- Według waszych książek powinienem powiedzieć teraz coś, co uratuje mi życie, lub żałośnie błagać o życie. Większość waszych pisarzy lubi widzieć złych upokorzonych, więc w tym miejscu zaczyna się błaganie. Nic z tego. Wiesz, co się stanie, jak mnie zabijesz, i wiesz, co będzie, jak mnie puścisz. Każda decyzja jest, jak to mówicie, do kitu. Więc sobie oblicz, gdzie tego kitu będziesz miał mniej.

- Możemy cię odstawić do Sosnowca na miejsce bitwy. Powiesz, że nas przepędziłeś, a po cichu nie rozszerzysz strefy. Tylko my dwaj będziemy wiedzieli, jak było.

- My nie negocjujemy.

- Wiesz co kurwa panie mądry. Jesteście stokrotnie głupi od nas. A wiesz dlaczego. – zrobił pauzę. – Bo my wiemy, kiedy trzeba odpuścić. Idę na obiad. A po nim moi ludzie zdecydują co z tobą.

- Tosia!- wrzasnął Śmierdziel i w pomieszczeniu zjawiła się drobna blondynka, o krótkich włosach i dużych oczach.

- Tosia, to nasz anioł. – wskazał na blondynkę, która lekko się uśmiechnęła. - Ma trzydzieści sześć lat, więc jej nie przekonasz do powrotu do strefy. Ja idę coś zjeść?

- Masz na imię Tosia?– spytał Donut, gdy przestał słyszeć kroki Śmierdziela na korytarzu. – Ty też chcesz mnie zabić?

- Nie. Przeżyłam w strefie dwadzieścia trzy lata. Było fajnie, ale czegoś im brakowało. Wybrałam się poza strefę i poznałam najcudowniejszego człowieka, mojego męża. Niestety, długo nie cieszyłam się szczęściem, ale było warto. I za nic bym tego nie zmieniła.- Na twarzy Tosi pojawił się szeroki uśmiech. - Był bojownikiem, więc ja też nim zostałam. Jednak ja walczę z obowiązku wobec moich towarzyszy, a nie nienawiści.

- To dlatego ciebie wybrał generał dopilnowania mnie, a nie Kulę.

- Kula to bardzo miły człowiek, ale porywczy. I ma z tobą rachunki do wyrównania?

Słyszac kroki na korytarzu, Tosia odwróciła głowę w kierunku otworu drzwi i zobaczyła w nim Kulę z pistoletem w dłoni.

-Nie rób tego. – jęknęła.

Kula skierował broń w kierunku Donuta.

- Za moją rodzinę gnoju.

- Nie. – cicho szepnęła Tosia i stanęła na linii strzału, zasłaniając Donuta swoim ciałem. Kula strzelił jej w środek czoła i odepchnął ją na bok, nim ciało upadło. Podbiegł do Donuta i nie mówiąc nic, zrzucił go sobie na ramię.

- Ale co? – usłyszał metaliczny szept.

- Musimy uciekać, nim zjedzą. Zaraz będzie za późno.

Z Donutem na ramieniu przebiegł obok ciała Tosi i wybiegł na korytarz. Szybko dotarł do opancerzonego samochodu i wrzucił Donuta, a na tylne siedzenie. Ruszył, gdy grupka ludzi zdążyła już wybiec z komendy policji, w której była kuchnia i zaczęli strzelać.

- Kuloodporny pojeby. – wrzasnął Kula, pędząc ulicą Bema wśród zniszczonych bloków. - Wolność, wolność, wolność. – ryczał na cały głos, uderzając z radością w kierownicę.

- Jeszcze nie dojechaliśmy. - zauważył Donut.

Śmierdziel był w połowie schabowego, gdy usłyszał pierwszy cichy strzał. Strzały to coś tak normalnego poza strefą, że nawet na niego nie zareagował. Dopiero gdy usłyszał kilka serii z broni automatycznej, odłożył widelec z kawałkiem kotleta i wybiegł na zewnątrz. Grupka ludzi strzelała w kierunku oddalającego się ulicą 11-go Listopada samochodu. Gdyby istniały bloki, które kiedyś były na skrzyżowaniu, nie widzieliby już samochodu, lecz żadnych budynków wzdłuż 11-go Listopada już nie było, więc mieli samochód jak na dłoni. Szerszeń, widząc marny skutek strzelania do samochodu, szybko wydał rozkaz do stojącego obok niego członka oddziału.

- Przynieś granatnik, biegiem, nim nam zniknie.

- Przerwać ogień. – krzyknął Śmierdziel. – A ty nie idziesz po żaden granatnik. Co tu się dzieje?

- Kula zabił Tosie i uciekł z ufolcem. – krzyknął Szerszeń. – Trzeba go utłuc, nim stracimy go z oczu.

- Zabraniam. Zabijecie jeszcze ufolca.

Wszyscy spojrzeli na Śmierdziela, lecz nikt nie miał odwagi powiedzieć, że po tu są.

- Ile zajmie mu dotarcie do Strefy Katowickiej. – spytał Śmierdziel, ignorując pytanie, które chcieli zadać wszyscy.

- Gdyby Rozdzień nie był zniszczony, to góra dwadzieścia minut, ale będzie musiał kluczyć po dobrych drogach, więc będzie to godzina. – rzeczowo odpowiedział Szerszeń.

- Macie piętnaście minut na spakowanie wszystkiego. Za kwadrans ruszamy w kierunku punkt cztery w Ogródzieńcu.

- Ale Kula. – cicho stęknął Szerszeń.

- Nie będę narażał ludzi dla jakiegoś zdrajcy. Wykonać rozkaz pułkownika, a ja idę dojeść kotleta. Gdy Kula zorientował się, że jest poza zasięgiem strzału i że za nim nie jadą, odetchnął głęboko z ulgą.

- Przepraszam za to, co mówiłem. To była ściema na użytek tych pojebów. Rodzice mnie wywieźli ze strefy, gdy miałem 5 lat, nie pytając o zdanie. Gdy w oddziale dowiedzieli się, że jestem gejem, zaczęli mnie szykanować, jakby był kimś gorszym. A przecież byłem najlepszy i walczyłem z nimi ramię w ramię.

- Mogłeś wrócić do strefy?

- Tutaj albo jest się, ze Śmierdzielem. Albo jest się martwym. Trzeciej drogi nie ma.

- Za to, co zrobiłeś, zadbam o ciebie w strefie. Będą, to twoje najszcześniejsze lata.

- Ma się rozumieć. – krzyknął, a po chwili dodał. - Wolność, wolność, wolność.

W nie tak radosnych nastrojach jechali ludzie Śmierdziela, którzy musieli przełknąć porażkę. Szerszeń nie odzywała się wcale i udawała, że podziwia krajobrazy za oknem odwrócona bokiem do Śmierdziela.

- Wkurwia mnie pani, pani pułkownik, gdy zachowuje się pani jak baba, która strzeliła właśnie focha. – powiedział Śmierdziel, gdy minęli Dąbrowę Górniczą. – To wojna. Naszym celem jest ją wygrać, a nie wygrywać każdą bitwę. Przegramy jeszcze tych bitew setki, ale w końcu wypędzimy te gnidy z naszej planety.

- Akurat. – odburknął Szerszeń.
 - Wyciągaj pułkownika kapownik i pisz.
- Szerszeń wyciągnęła kapownik, który był przeciętym na pół zeszytem w twardej okładce z przodem samochodu.
- Utworzysz cztery grupy uderzeniowe. Każda grupa po trzydzieści osób, więcej granatników, niż broni strzeleckiej.
 - Nie mamy tyle broni.
 - Załatw od innych. Coś wymień albo poproś. Grupy rozstawiasz w czterech osobnych obozach, niech o sobie nic nie wiedzą. Ty będziesz ich koordynować. Ze szkoleniem się nie spiesz, bo mamy trochę czasu.
 - Zapisane.
 - Punkt drugi. Kula jest nietykalny. Do strefy nikt z nas nie wejdzie, a kolaboranci współpracujący z nami są mi potrzebni do czegoś innego.
 - Ciekawe do czego?
 - Zapisaleś?
 - Tak.
 - Punkt trzeci. Niech kolaboranci znajdą schematy nowych ekranów. Podobno da się przez nie strzelać.
 - To byłoby super. Zapisane.
 - Punkt czwarty. Niech kolaboranci znajdą testy na CDI i dowiedzą się jak je robić.
 - A to co?
 - Sam nie wiem, ale chyba coś z głową. – pokręcił palcem wokół ucha. – Zapisaleś?
 - Zapisane.
 - Punkt piąty. Stworzymy Kodeks Oporu.
 - A co to jest?
 - Zbiór zasad, jakimi musimy się kierować podczas walki z ufołcami. Pierwszy punkt tego kodeksu brzmieć będzie jakoś tak. – zrobił pauzę. – Żaden Porianin w nawiasie ufolec, nie ma prawa zginąć podczas akcji.
 - Co? – zdziwił się Szerszeń.
 - Wy tłumaczę ci później dlaczego. Resztę punktów wymyślimy, a potem roześlemy to do innych, oczywiście po zredagowaniu.
 - Zapisaleś.
 - Tak.
 - To tyle.
 - To jednak masz jakiś plan? – powiedziała z nieukrywanym zachwytem w głosie.
 - Opowiem ci wieczorem przy wódce, jak dotrzemy do Ogrodzieńca.

Strefa Katowicka. Trzy miesiące później.

Mleczniak, wysoki kolaborant o podłużnej twarzy i mocno niebieskich oczach otworzył drzwi mieszkania i zaprosił ręką Kule do środka.

- Twoje nowe mieszkanie.

Kula wszedł do przedpokoju, który mógł być salonem i rozejrzał się w prawo i lewo. Po prawej miał dużą, mocno oświetloną kuchnię, a po lewej ogromny salon. Wszystko było umeblowane i nawet zestaw noży wisiał nad zlewem, nie mówiąc już o szklankach.

- Wszystkich tak przyjmujecie?

- Inni dostają mniejsze mieszkania, bo każdym ma prawo od strefy dostać mieszkanie, ale ty jesteś tu na specjalnych prawach. Donut o ciebie zadbał i załatwił ci mieszkanie na Giszowcu, kiedyś najgorszej dzielnicy Katowic, teraz najelegantszej. – a ponieważ Mleczniak zawsze mówił, wszystko, co wie, dodał jeszcze. – W trakcie wojny jednodniowej była tu linia obrony. Porianie

zrównali teren z ziemią i po wojnie w trzy miesiące wybudowali tu najelegantszą dzielnię.

Weszli do kuchni. Mleczniak otworzył wszystkie szafki i lodówkę.

- Lodówkę masz pełną. To tak na początek. Potem będziesz musiał iść do sklepu, który znajduje się na dole budynku. Twój komunikator umożliwia ci darmowe zakupy żywności i innych produktów. Z czasem poznasz, co jest darmowe. Kuchnia jest w pełni wyposażona od łyżeczki do zmywarki. Sprzątać niestety musisz sam, chyba że masz pieniądze, wtedy będą sprzątać inni.

Przeszli do salonu, ogromnego z dużym trasem za wielkim oknem balkonowym. Wyposażenie salonu stanowiła sofa z dwoma fotelami, stolik i szafka. Co zdziwiło Kulę, to to, że sofa zwrócona była w kierunku pustej ściany, a nie tarasu. Widząc, że Kula dziwnie patrzy na ścianę, Mlecznik szybko mu wyjaśnił.

- Ta ściana to telewizor.

- Cała?

- Cała, od podłogi, aż po sufit, lecz jeśli będziesz chciał, to możesz przełączyć się na trójwymiar i wtedy cały salon będzie telewizorem. Osobiście nie polecam, ale co kto lubi.

Jak dobry gospodarz, Mlecznik otworzył szafkę.

- Barek masz pełny. Jest tu sporo alkoholi, które nie są darmowe. Taki prezent powitalny.

- I naprawdę każdy, kto jest w strefie, to dostaje?

- Każdy. W strefie nikt nie chodzi głodny, nagi, bez dachu nad głową.

- To po kiego ja siedziałem poza strefą i traciłem tam najlepsze lata?

- Można. - Mlecznik wskazał na barek, ignorując pytanie.

- Oczywiście.

- Jedyna okazja wypić coś, na co mnie nie stać.

Rozlał dwie szklanki chivas-a i położył je na stoliku. Usiedli.

- Szkoda, że na taką dobrą whisky mnie nie stać. - powiedział po wypiciu małego łyeczka trunku.

- Naprawdę tu nawet alkohol jest darmowy?

- Naprawdę. Jedyne ograniczenie jest takie, że jak wpadniesz w alkoholizm, to cię złączą przymusowo leczyć. Możesz więc pić do woli, byle nie załatwiać zbyt mocno swojego organizmu.

- Ciekawe.

- Żyje się tu dobrze. Tylko trzeba pamiętać, że trzydziestka piątka się zbliża.

- I nie przejmujecie się nią.

- W czasach przed wojną ludzie tracili masę czasu na zapewnienie sobie godziwego życia. Tu takie życie masz w gratisie i tylko od ciebie zależy, co z nim zrobisz. Wgrałem do twojego komunikatora wykaz klubów gejowskich, gdzie będziesz mógł się dobrze zabawić. Musisz tylko przejść badania, na które już cię zapisałem.

- Wszystko mam za darmo, a co gdybym musiał coś więcej?

- Wtedy musiałbyś zacząć pracować.

- W fabryce czy gdziekolwiek indziej?

- Pracy nie ma tu dużo, bo wszystko wykonują maszyny. Dlatego tylko kolaboranci mają cokolwiek do roboty. Na ten przykład ja jestem administratorem dzielnicy. Praca słabo płatna, ale dobra. Jeśli chcesz zarabiać lepiej, musisz zostać kolaborantem wyższego poziomu, ale ty ze swoją przeszłością nie będziesz miał z tym żadnego problemu. Wtedy możesz zarabiać naprawdę dobre pieniądze.

- I co wtedy miałbym robić?

- Możesz ją zatrudnić jako zbieracz Ostatecznych. Jednak bycia zbieraczem nie proponuje.

- A co to zbieracz?

- Chip ostateczny uruchamia się ludziom w dziwnych miejscach. Twoim zadaniem jest pozbierać ciała, które mogą być gdziekolwiek. Niby praca fajna, bo jeździsz po mieście i zbierasz

Ostatecznych, ale oni mają niekiedy rodziny i tu zaczynają się problemy. Jednak jak znajdziesz jakieś ciało, które ci się podoba, to możesz je bzyknąć lub okraść. Poranie i tak nie zwracają na to uwagi. Jednak zbieraczom co chwilę odwala. Gorsza od tego jest praca z rzeźni, gdzie oddziela się ciało od mózgu, i tam jeszcze bardziej wszystkim odwala. Najlepiej załapać się do Mózgowni, bo to

spokojne przekładanie mózgów z jednego miejsca w drugie, choć niektórzy widzą w Mózgowni duchy. Jednak chyba to bardziej z nudów. Płaca niezła i nie musisz się szkolić do niej przez dziesięć lat.

Mlecznik wypił duszkiem resztę szklanki i nadał sobie kolejną.

- Moja jedna rada brzmi. Zrób sobie urlop, przynajmniej do czasu aż barek masz pełny tych fajnych alkoholi. Wiem, że jako bezstrefowiec musiałeś być w ciągłym ruchu, ale tu możesz zwolnić.

Trzydziestka piątka nie będzie jutro, ale za parę lat.

- Może to jej racja. Wybiorę się to po badaniach do jednego z klubów i zobaczę czy mi takie życie odpowiada. Jak nie to zapiszę się do pracy.

- Podejmę pracę. - poprawił go Mleczniak, nalewając sobie kolejną szklankę alkoholu.

- Racja podejmę.

Zataczając się lekko, Mleczniak wstał od stolika i ruszył w kierunku drzwi.

- Tylko pamiętaj. Pod żadnym pozorem, nie podejmuj pracy w rzeźni. Może i lepiej płatna, ale szybko pożałujesz, że znalazłeś się w strefie.

Gdy Mlecznik wyszedł, Kula dopił do końca zawartość szklanki i z plecaka, który dostał w Ośrodku dla Bezstrefowców, wyjął latarkę. Zwykłą wojskową latarkę kątową, na duże baterie.

Mundur spalił, lecz latarka była pamiątką po kochanku, dlatego postanowił ją zostawić. Podeszedł do komody i położył na niej latarkę.

- Na pamiątkę dawnych czasów. - powiedział głośno do siebie.

Mózgownia numer 68, gdzieś w Polsce. 22 października 28 roku.

Dzień był ładny, gdy Kula dotarł do pracy. Jak co dzień na lotnisku strefy wsiadł do powietrznego autobusu, który był tylko dla obsługi Mózgowni. Autobus nie miał okien, ale za to komfort w nim był znacznie większy niż w zwykłych autobusach strefy. Widząc go Inga, krótko obcięta prześliczna brunetka o dużym biuście i zgrabnych nogach, uśmiechnęła się. Uśmiech dla niej był równocześnie mieszanką radości, że widzi Kulę i smutku, że jest gejem. Kula odwzajemnił uśmiech i usiadł dwa fotele dalej. Autobus po piętnastu minutach wylądował w miejscu, którego lokalizację znali tylko Porianie i to nie wszyscy jak przypuszczał Kula. On widział tylko wysokie mury, niebo, budynek dyspozycyjny umieszczony obok wielkiej bramy o potężnych stalowych wrotach. Dziesięć osób stanowiących załogę Mózgowni wolno wyszło z autobusu i udało się do dyspozytorni.

Inga dogoniła Kulę.

- Jak tam było wczoraj na imprezie? – spytała lekko zdyszana, usiłując mu dotrzymać kroku.

- Nudno. Strasznie drętwe towarzystwo. Posiedziałem więc do dwunastej i sru do domu. A ty jak tam?

- Romantycznie. Najpierw kolacja przy świecach, a potem ostry sex. – skłamała Inga.

- Zamęczysz tego swojego faceta.

- No wiesz. Mam prawie trzydzieści lat, więc za pięć lat stawie się do tego miejsca i to nie do pracy. Chcę jeszcze poużywać życia.

- W sumie to i racja. Ile na dziś przewidziano transportów?

- Cztery.

- Mam nadzieję, że nie przepełnione jak ostatnio.

- Tego nie wiem. Napisałam skargę do góry i odpisali, że już nie będzie przepełnionych transportów.

- Oby.

Pierwszy transport przybył godzinę po rozpoczęciu zmiany. Dwa wyglądające jak wielkie szare pudełka transportery wylądowały na płycie lotniska. Kula uruchomił maszyny do transportu słoii, jak nazywali pracownicy pojemniki z mózgami. Burty poszły do góry i maszyny metodycznie wyciągały z transporterów palety pełne słoików i znikwały z nimi za stalową bramą. Inga zrobiła

sobie kawę i patrzyła obojętnym wzrokiem na rozładunek. Józef siedzący z nimi w sterowni, dobiegający trzydziestki piątki, wysoki i chudy jak szczapa blondyn, patrzył tak samo obojętnie, lecz z każdym dniem jego obojętność coraz bardziej mieszała się z nerwowością. Z każdym dniem w jego mózgu kielkowała świadomość, że za niedługo stanie się słoikiem. Rok temu było to jeszcze małe ziarenko, lecz teraz było to już wielkie drzewo z korzeniami w kręgosłupie i rozłożystymi gałęziami w mózgu. Choć starał się ukryć istnienie tego drzewa, raz za czas się ono ujawniało.

- I znowu tysiąc dziewięćset istnień poszło do dziury. – zauważył, gdy ostatnia paleta słoików zniknęła za bramą.

- Doszli do końca swej drogi i tyle. – mruknął Kula. – Idź sprawdzić, czy któraś z maszyn nie zgubiła drogi.

- Sam sobie sprawdzaj.

- To, że masz blisko trzydzieści cztery lata, nie zwalnia cię z obowiązków i solidnego wykonywania pracy, za którą ci płacą.

- Święty. – powiedział z bardzo mocno zaakcentowanym „ę” – i głupi jak but Kula.

- Powiedz to jeszcze raz, a rozkwaszę ci ryj. – Kula strzelił palcem w kierunku Józefa.

- Zamknijcie się obaj. – podniosła głos Inga. – Mamy pracę do wykonania. Słoikom nic już nie pomoże, a my jak coś spieprzymy, to wyrzucą nas na zbity ryj i będziemy wegetować do czasu stania się słoikami. Kula sprawdzasz, czy wszystko w porządku, a Józef do bramy. – rozkazała. Po godzinie cały transport znalazł się w magazynie na poziomie pięćdziesiątym drugim i Józef wrócił do dyspozytorni. Brama się zamknęła, maszyny wróciły na swoje miejsca, Inga wysłała sygnał, że Mózgowia jest gotowa na kolejny transport i zrobiła sobie kolejną kawę.

Patrząc na ekrany monitorujące magazyny, Kula wypatrzył coś, co go zaniepokoiło. Postukał palcem w monitor, jakby chciał, aby ten zmienił zdanie. Ten jednak nie zmienił zdania, więc Kula przywołał Ingę.

- Coś jest nie tak w pięćdziesiątym pierwszym magazynie. – wskazał na monitorze jeden ze wskaźników.

- Mów do mnie jeszcze. Wiesz, że się na tym nie znam.

- Temperatura w magazynie podniosła się o dwa stopnie na jednym z czujników.

- I co z tego?

- Drugi pokazuje, że jest dobrze, lecz naszym obowiązkiem jest to sprawdzić.

- Ja nie idę. – powiedział szybko Józef, mając nadzieję, że jak pierwszy powie, że czegoś nie robi, to jego nie wybiorą. – W magazynach jest zimno, a rzędy mózgów przyprowadzają mnie o gęsą skórę.

- Pójdiesz to sprawdzić? – spytała Inga, patrząc na Kulę.

- Nie ma co sprawdzać. Wezmę narzędzia i wymienię czujnik na nowy.

- Tylko weź kurtkę, bo tam rzeczywiście jest zimno.

Na każdym poziomie w podziemiu Mózgowni, umieszczono po dziesięć magazynów po tysiąc słoików w każdym magazynie. Poziomów było trzydzieści, a magazyny liczyło się od najniższego poziomu. Dlatego magazyn o numerze pięćdziesiąt jeden znajdował się na piątym poziomie. Kula zjechał na piąty poziom i wysiadając z windy, włączył latarkę. Światła w korytarzach magazynów było niewiele, co nie było podyktowane przesadną oszczędnością, lecz tym, że po korytarzach głównie jeździły maszyny. Odkładając skrzynkę narzędziową, Kula przyłożył dłoń do czytnika i potężne drzwi magazynu powoli rozeszły się na boki. Jak tylko szczelina była na tyle duża, że mógł przejść, wszedł do magazynu. Przyłożył rękę do czytnika po drugiej stronie wrót i w magazynie rozbłysło światło.

Wszystkie magazyny wyglądały tak samo i unosił się w nich ten sam zapach, resztek płynu mózgowego, który wyciekł ze słoika. Był on bardzo ulotny, lecz w każdym magazynie było go czuć. Niektórzy określali go jako połączenie zapachu cebuli, czosnku i rodzynek, lecz dla Kuli było to zapach płynu mózgowego i nigdy nie usiłował połączyć go z innymi zapachami. Z cichym młasknięciem wrota zamknęły się za Kulą. Przednim było tysiąc słoików, ułożonych w dziesięciu rzędach po pięć z każdej strony, a każdy rząd tworzyło sto słoików. Ponieważ każdy słoik musiał

mieć metr kwadratowy przestrzeni, pomieszczenie miało sto metrów długości i osiem wysokości, ze względu na suwnice pod sufitem. Szerokie było na trzydzieści metrów, gdyż suwnica musiała mieć miejsce do operowania. Na środku pomieszczenia stały cztery palety słoików z ostatniego transportu. Suwnica bardzo powoli zabierała po jednym słoiku z palety i wkładała go w puste miejsce. Ponieważ nikt jej nie poganiał, była dopiero w połowie pierwszej palety.

Wiedząc, że jest obserwowany na monitoringu przez Inge, Kula szybko przystąpił do pracy.

Otworzył wiszącą na ścianie białą skrzynkę z czujnikami, położył dłoń na czujniku temperatury i włączył komunikator.

- Inga jak tam? Temperatura na czujniku wzrosła?

- Nie. – zdecydowanie odpowiedziała Inga.

- Znaczący czujnik uszkodzony. Wymienię go na nowy.

- Wyłączam.

Odczekał chwilę, aż kontrolki systemu przeciwpożarowego się wyłączą i małym kluczem odkręcił czujnik. Obejrzał go w świetle latarki i wyjął nowy ze skrzynki narzędziowej, wrzucając do niej stary. Inga nie zauważyła jednak, że wraz z czujnikiem wyjął szczypce do drutu. Od tej chwili nie było już sensu niczego naprawiać. Józef zauważyłby, że coś jest nie tak, ale on nie patrzył na monitor. Inga nie znała się na technice, więc nawet nie zareagowała, gdy Kula przeciął w skrzynce kilka przewodów. Na koniec wkręcił nowy czujnik i zamknął szafkę.

- Możesz sprawdzić. – powiedział spokojnym głosem, choć jego serce biło jak szalone.

- Działa. Możesz wracać.

- Nie wracam. – powiedział i jego serce zaczęło znów bić normalnym rytmem.

- Co ty gadasz? Duchy magazynu zobaczyłeś?

- Nie duchy, ale tysiące ludzkich istnień, które tu zgromadzono. – Rozkręcił latarkę i wyjął z niej baterię. Mocno ścisnął ją w dłoni, aż poczuł, jak staje się ciepła. Podeszedł do palety pełnej słoików i upuścił baterię między nie. – Za dziesięć minut to miejsce zmieni się w zgliszcz.

- O czym ty mówisz? Masz jakiś problem, to wyjdź na górę i porozmawiamy.

- Nie mam problemu, tylko misje. – po chwili kontynuował. – Ponad cztery lata temu Śmierdziel zaprosił mnie do swojej kwatery w Będzinie. To miasto spoza strefy, więc możesz go nie znać, choć jest blisko Katowickiej Strefy. Zdziwiłem się. Ja zwykły sierżant, a zaprasza mnie legenda walki z Porianami i nasz ukochany dowódca. Jeszcze bardziej się zdziwiłem, gdy w jego pokoju na stoliku zobaczyłem dwie pełne szklanki nie jakiegoś bimbrowa, ale dobrej starej wódki.

Śmierdziel wyłożył mi plan misji od początku do końca. Nie przerażało mnie to, że dla legendy mam się stać gejem, aby mnie mogli zacząć szykanować. Przerażało mnie, że mam stać się zdrajcą, na którego wszyscy będą pluli. Przydzielono mnie do Paula, geja i bardzo miłego człowieka, który dostał jedno zadanie. Zrobić ze mnie geja. I zrobił, choć szykanowano nas obu, jakbyśmy byli trędowaci. Paul zginął półtora roku później. Płakałem na jego pogrzebie, żegnając kogoś, kto był mi bardzo bliski. Aby mnie nie szykanowano za mocno, Śmierdziel zapoznał Tosie z całą misją. Tosie wszyscy uznawali za anioła, więc gdy szykany były za mocne, wkraczała i wszystko wracało na właściwe tory. Gdy Tosia zaczęła chorować, Śmierdziel przeniósł mnie do oddziału Szerszenia, dla którego liczyło się tylko wykonywanie rozkazów i nic więcej, lecz jego już z planem nie zapoznał. Miesiąc przed zasadzką w Sosnowcu, zjawiłem się znów w kwaterze dowódcy, lecz tym razem na stole stały trzy szklanki, a w pokoju była Tosia. Wiele rzeczy można poświęcić dla misji, lecz gdy usłyszałem od Tosi, że mam ją zastrzelić, aby do końca zbudować legendę, powiedziałem nie.

Przecież nikt nie zabija anioła. Tosia musiała mi długo tłumaczyć, że jest bardzo chora i zostało jej niewiele dwa góra trzy miesiące życia. Błagała mnie, a ja mówiłem nie, w końcu jednak uległem. I jestem tutaj.

Kula wyjął z kieszeni mocno zniszczoną paczkę papierosów i wyciągnął z niej papierosa. Podniósł paczkę tak, aby Inga zobaczyła ją na monitorze.

- To prezent od Śmierdziela.

Zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

- Jak mi tego brakowało. - powiedział i usiadł obok palety.- A wiesz Inga, co jest w tym najgłupsze? Zakochałem się w tobie. Ileż bym dał za romantyczną kolację z tobą i dziki seks potem.
- Jak wyjdiesz, to o tym pogadamy.
- Odłączyłem bramę i wszystkie instalacje, które mogłyby mnie powstrzymać, nim bomba wybuchnie, więc raczej nam się nie uda.
Kula wyłączył komunikator, nie chciał już słuchać nikogo. Cicho zaczął nucić piosenkę swojego oddziału. Nie wiedział, skąd wzięła się melodia i że była przerobiona piosenka, gdy nie było jeszcze stref.

*W niebie będę w niebie
I z kumplami wódkę będę pić...*

W dyspozytorni zebrała się cała zmiana. Był to zły pomysł, bo po chwili wszyscy zaczęli się przekrzykiwać i w pokoju zrobił się spory harmider.

- Zamknąć się wszyscy. – krzyknęła w końcu Inga. – Czy ma ktoś jakiś pomysł jak dostać się do tego magazynu lub wykurzyć z niego Kulickiego?

- Możliwość jest w dużo, ale żadnej nie da się wykonać w dziesięć minut. – spokojnym głosem ocenił sytuację Józef.

- Jesteś tego pewien?

- Pracuje tu piętnaście lat i w tym czasie otwierałem cztery razy magazyny po jakiejś awarii. Wiem, ile to trwa. Winda na sam dół jedzie prawie kwadrans.

- Jakies inne pomysły? – Inga spojrzała po członkach zmiany, którzy z każdą sekundą byli coraz bardziej przerażeni.

- Inga czas płynie. – usłyszała spokojny głos Józefa.

- Ewakuacja – krzyknęła.

Tej komendy nie musiała powtarzać dwa razy. Jak tylko padło ostatnie „a” nikogo nie było w dyspozytorni z wyjątkiem jej i Józefa, który wyjął z szafki butelkę wódki, wylał kawę z kubka na podłogę i wlał do niego zawartość butelki.

- A ty co.?

- Ja? – odpowiedział zdziwionym głosem. – Właśnie postanowiłem zakończyć swoją drogę i nie stać się słoikiem. Fajnie się z tobą pracowało, choć czasami byłaś wielką suką. – podniósł kubek do góry. – Zdrowie.

Mózgownia numer 68, a raczej to, co z niej zostało. Trzy dni później

Smukły transporter pasażerski nadleciał od południa nad to, co pozostało z Mózgowni. Stojący w salonie Donut rozglądał się po okolicy. Umożliwiały mu to ściany, które jednym przyciskiem można było zmienić w okna i czuć się jakby wisiało w powietrzu. Stojący obok niego Torad w czerwonym kombinezonie nie mówił nic, tylko czekał, aż przełożony sam coś powie. Donut wskazał na wielką ziejącą dymem dziurę w ziemi.

- Długo to jeszcze będzie się palić?

- Nasi specjaliści mówią, że jeszcze dwa dni.

- Dobrze, że Mózgownia była daleko od którejkolwiek ze stref, bo musielibyśmy uspokajać zwierzątka.

- Z żadnej pobliskiej strefy nie widać dymu. Sam sprawdziłem.

- Ustalono, kto to zrobił?

- Według naszych danych, Kalicki Arkadiusz.

- Znam to nazwisko.

- To kolaborant, który dwa lata temu uwolnił cię z rąk Śmierdziela.
- W takim razie, nie uwolnił, tylko nas zwiódł.
- Sprawdzaliśmy go bardzo dokładnie. Nie miał żadnych kontaktów z ludźmi Śmierdziela po Będzinie.
- Jakbyś czytał ich książki, to byś wiedział, że kontaktem może być inaczej odsłonięta zasłona, bułka pozostawiona w parku na ławce i tysiące rzeczy, na które nikt nie zwróci uwagi. Jestem pewien, że wszystko to ukartował Śmierdziel lata temu, a potem patrzył, jak plan się realizuje. Musiał mieć niezły ubaw, zadając mi pytania, na które znał odpowiedzi i których do niczego nie potrzebował. Należy tu przyznać, robił to na tyle dobrze, że nawet ja się na tej grze nie poznałem.
- Po wybuchu sprawdzaliśmy wszystko od początku. Trafiliśmy na skan ciała kobiety, którą zastrzelił Kulicki. Ciało poszło na paszę dwa lata temu. Zgodnie z procedurą trzeba było sprawdzić, czy nie ma w nim ciał obcych i wykonano jego skan. Ciał obcych nie było. Skan pozostał i nasi specjaliści stwierdzili, że była bardzo chora i nie zostało jej niewiele życia.
- Sprytne. W naszych głowach nie mieści się, zabicie przyjaciela dla misji, a pokręcone mózgi zwierzątek to potrafią. Trzeba przyznać Śmierdzielowi, że zwiódł nas, jak to mówią zwierzątka koncertowo. Tylko ten atak przeprowadzili?
- Gdy Mózgownia wybuchła, skierowaliśmy wszystko, co mieliśmy do jej gaszenia. W tym czasie cztery grupy Śmierdziela równocześnie zaatakowały nasze rzeźnie. Trzy ataki się powiodły, jeden nie. Schemat ataku był ten sam w każdej rzeźni. Podjechanie do muru okalającego rzeźnię ciężkim osłoniętym ekranami pojazdem. Rozbicie muru i wejście do środka. Salwa rakietowa w dyspozytornie. Wystrzelanie kolaborantów, którzy przeżyli. Wypuszczenie zwierzątek, wysadzenie budynków i magazynów. Dwie grupy zdążyły jeszcze spalić miotaczami ciała martwych zwierzątek, a jedna poukładała pod murem martwych kolaborantów i na ścianie nad nimi ktoś napisał farbą „Te ciała możecie sobie wziąć”. Chyba powinno być, wziąć.
- Hernandez. Nie dopuścili go do walki, więc się nudził. A wiesz, że był on kolaborantem. Na testach wyszło, że ma on CDI na poziomie ponad dwa tysiące. Mógł, więc czytać nasze schematy i taką pracę dostał. Pracował przy projektowaniu rzeźni i Mózgowni. Wierzył, że praca zasłuży sobie na przeskoczenie przez trzydzieści pięć lat. Jednak my nie robimy wyjątków. Wysłano go do rzeźni w Polsce, skąd uciekł z łatwością i trafił do oddziału Śmierdziela. A ponieważ ataków było cztery, a ekranów nie mogą obsłużyć zwierzątka z niskim CDI, znaczy, że już kogoś wyszkolił. Sprawdźcie mózgi tych z nieudanego ataku. Któryś musi być z wysokim CDI.
- Sprawdzimy.
- Ilu zginęło naszych?
- Nikt. Tylko kolaboranci i zwierzątka.
- Znaczą już Kodeks Oporu działa.
- A co to?
- Jakbym ci powiedział, to bym cię musiał zabić. – dopiero po chwili dodał. – Taki żarcik zwierzątek.
- Mało śmieszny.
- Też z niego się nie śmiałem. Ile straciliśmy mózgów?
- Sumując te z rzeźni i Mózgowni, wyjdzie dwieście tysięcy trzysta sześćdziesiąt cztery.
- Zarząd będzie niepokieszony.
- Obniżymy wiek w kilku strefach i wszystko odrobimy.
- Głupiś zajączku, jak mówią zwierzątka. Dokładnie o to chodzi Śmierdzielowi, aby zbuntować zwierzątka przeciw nam. Jeśli mu na to pozwolimy, to będziemy mieli bunt w każdej strefie.
- Musimy coś zrobić.
- Nie zrobimy nic. Niestety dla nas, Śmierdziel wpadł na sposób jak nas pokonać. Od teraz, żaden z nas nie zginie na tej planecie, ale koszty obsługi farmy będą nam tak szybować do góry, że sami stąd się wyniesiemy. Wszystko ma zostać po staremu, aby Śmierdziel nie wiedział, że trafił nas w czuły punkt.

- Ale rzeźnie zostały zniszczone i Mózgownia.
- Rzeźnie i Mózgownie trzeba będzie przeprojektować, aby coś takiego się nie powtórzyło. Na czas przebudowy trzeba będzie kierować zwierzątka na paszę. Zyski pójdą jeszcze bardziej w dół, ale musimy to zrobić.
- Co z kolaborantami w Mózgowni?
- Mówiłeś, że wszyscy zginęli.
- Tych ostrzegł Kulicki przed wybuchem. Chyba podobała mu się kierowniczką zmiany i nie chciał, aby zginęła. Z początku wszyscy twierdzili, że to był awaria, lecz nasi śledczy szybko poznali prawdę.
- Przerobisz ich na paszę.
- Ale to dziewięć mózgów.
- Straciliśmy ich ponad dwieście tysięcy, więc dziewięć nie robi różnicy. Skoro my potrafimy odczytywać i resetować mózgi, to może i Śmierdziel to potrafi. A skąd wiemy, co było kłamstwem a co prawdą. Może Kula był gejem i ratował kierowniczkę, bo była jedną z nich i miała przekazać informacje o zniszczeniach. Możliwości jest wiele, a ja nie lubię głupio ryzykować.
- A co ze Śmierdzielem?
- Wyślesz mu butelkę dobrej whisky. Możesz nawet dodać, że to ode mnie.
- Nie dopadniemy go?
- Siedzisz tu już dwadzieścia osiem lat i zaczynasz myśleć jak zwierzątka. Akacja i reakcja. Morderstwo i zemsta. Śmierdziel pokazał nam, jak staliśmy się nieostrożni i że gubi nas przekonanie o naszej wyższości nad zwierzątkami. Niech układa kolejne plany ataku, Pas Południowy to małe poletko. My po każdym ataku będziemy się uczyć zwierzątek i poprawiać to, co nam wydawało się niezniszczalne. Poczytaj ich książki, to zrozumiesz. – Donut zrobił pauzę. - Wepchnęli garść piasku w dobrze naoliwioną i pracującą maszynę. Tryby maszyny zazgrzytały, lecz maszyna ruszyła dalej. Następnym razem przyjdą z wiadrem piasku, a gdy to nie pomoże z wagonem piasku. Nim to nastąpi, trzeba wycisnąć z tej planety jak najwięcej, bo nastanie ten dzień, gdy koszty będą wyższe niż zyski. A wtedy się wyniesiemy.

AGnom

Rozpoczęto pisanie w notatniku: 30.01.2023

Zakończono pisanie w notatniku: 07.03.2023

Zakończono przepisywanie z notatnika: 04.10.2023

Korektę zakończono: 19.12.2023